

Cabak

Navigare necesse est

„...W powietrzu czuć zapach burszyny, tak zawsze pachniał ojciec mój, kiedy z morza wracał do domu, odespać marynarski znój. Tyle razy stąd uciekałem i powracałem razy sto. Pytam się sam czy rację miałem, choć dobrze wiem, że to był błąd. Późną nocą na bulwarze, na falochronie siedzę sam. Trochę wspominał, trochę marzę, całą noc dla siebie mam...”

Olaf Deriglasoff

To historia o zwykłym człowieku, bliskim sercu wielu gdynian, który choć urodził się i wychował w Warszawie, pokochał Gdynię, jak rodzinne miasto. Jak to się stało, że w 1973 roku chłopak z Woli, a dokładniej Koła, gdzie kiedyś szlachta wybierała polskich królów wylądował nad morzem? Przypadek nie-przypadek jak pisał Kolberger, nie ma rzeczy niemożliwych jak śpiewa „Słodki Calus od Buby”?

Ale zacznijmy od początku. Był rok 1962, kiedy ośmioletni Jurek z mamą i siostrą wybrał się nad morze na wakacje. Miał kłopoty ze zdrowiem i lekarz stwierdził, że najlepszym lekarstwem będzie morskie powietrze. I znów przypadek nie-przypadek, w czasie jego pobytu do portu zawinął „Zawisza Czarny”. Wtedy Jurek po raz pierwszy zobaczył na własne oczy żaglowiec i postanowił – będę marynarzem. Na spełnienie tego marzenia trzeba było jeszcze trochę poczekać. W międzyczasie zdążył ukończyć stołeczne technikum ceramiczne, zrobić patent żeglarza na Zalewie Zegrzyńskim i przeczytać tomy marynistycznych wydawnictw, w tym m.in. „Małą flotę, wielką duchem” Jerzego Perteka. Po zdanej maturze kierunek był tylko jeden – Gdynia – i ówczesna Wyższa Szkoła Morska. Wybór padł na wydział nawigacji i tak rozpoczęła się trwająca 30 lat przygoda z morzem. Kadecki rejs na „Darze Młodzieży” pod dowództwem kapitana Leszka Wiktorowicza. Wizyta w Londynie oraz Amsterdamie i niesamowita okazja by przywieść do domu winyle „Zeppelinów”, „The Who”, „Stonesów” czy „The Yardbirds”. Nie udało się, co prawda wybrać na „Operację Żagiel 76”, ale nie ma tego złego, co by na dobre nie wyszło. Zamiast tego ślub w 1978 i narodziny dwóch synów. Chyba warto było.

Pierwsze kroki w karierze zawodowej zaczął stawiać, jak większość polskich marynarzy w tamtych czasach w Polskich Liniach Oceanicznych, których siedziba mieściła się u zbiegu ulic 10 Lutego i 3 Maja. Najpierw jako kadet, później 3. i 2. oficer. Były masowce, drobnicowce, długie przeloty do Singapuru i Hongkongu oraz wizyty w ulubionym, macierzystym porcie. Po drodze jeszcze zmusna i niebezpieczna praca w Polskim Ratownictwie Okrętowym. Przełomowy dla branży, jak i całego kraju był rok 1989. Polscy przewoźnicy morscy zwinęli niestety żagle i trzeba było rozejrzeć się za pracą u obcych.

Zaczął się szalony wyścig z czasem i pogoń za pieniądzem. Choć kontrakty trwały nawet cały rok nie było już długich przelotów, tylko port za portem i wszędzie masa roboty – papierkowej, przy załadunkach i rozładunkach, przyjmowaniu inspekcji, wizytach superintendentów. Jedynym spokojnym miejscem było morze. Grecy, amerykańscy, południowoafrykańscy czy arabscy armatorzy nie wierzyli za bardzo w umiejętności polskich oficerów, wszystko trzeba było udowadniać ciężką pracą i latami praktyki. „Juri”, jak go nazywaliśmy zdał ten egzamin na szóstkę. Awansował na chiefa. W końcu został kapitanem i tak przepływał ostatnie 10 lat. Łatwiej byłoby wskazać na mapie miejsca, w których go nie było niż te, które opłynął, ale zawsze z radością wracał do Gdyni. W ostatnim czasie na pamięć poznał przejście przez Ocean Indyjski, Zatokę Adeńską, Morze Czerwone, Kanał Sueski, Śródziemne, Atlantyk i podejścia do amerykańskich portów wschodniego wybrzeża. Dowodzenie na pełnym morzu kontenerowcem długim na 250 m, szerokim na ponad trzydzieści, którego nośność przekracza 40 tys. ton, wreszcie odpowiedzialność za życie i zdrowie dwudziestoosobowej załogi. To nie lada wyzwania, które z biegiem lat stały się chlebem powszednim. Co prawda statki, którymi dowodził kapitan Jerzy Cabak nie zawijały już do gdyńskiego portu, ale powrót do domu, rodziny i swojego miasta był zawsze najważniejszy.

Dziś kiedy patrzę na Gdynię wszędzie widzę Ciebie. Na skrzyżowaniu Mściwoja i Starowiejskiej, Nabrzeżu Francuskim, Skwerze czy Bulwarze, na molo w Orłowie. Ktoś kiedyś powiedział, że ludzie, którzy nie zostawili po sobie wielkich osiągnięć, lecz łańcuszek drobnych zyczliwości, nie zmarnowali swojego życia. Ty z pewnością go nie zmarnowałeś.

Mateusz Cabak





Opublikowano:

08.02.2012 00:00

Autor:

Michał Kowalski

Źródło: <https://www.gdynia.pl/o-gdyni/ksiega-gdynian,3577/cabak,408476>